cudowny medalik







JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚĆ PAPIEŻ PIUS XI.

ROCZNIK MARIAŃSKI



CENTRALNY KRAJOWY ORGAN KRUCJATY CUD. MEDALIKA
STOW. CUDOWNEGO MEDALIKA I DZIECI MARII W POLSCE

Rok XV/2 Redaktor X. Pius Pawellek, Misjonarz Luty 1939

Ojciec św. orędownikiem pokoju

Już kilka miesięcy upłynęło, jak nad Europą zawisły pogróżki wojenne, i jak wszelkie usiłowania zdawały się być daremne dla powstrzymania strasznej klęski. Wtedy, tuż przed zabójczymi bombardowaniami, na cały świat wyszedł potężny apel o zachowanie braterskiej miłości i pokoju.

✷

Papież Pius XI, ten którego ze szacunkiem nazywamy «Ojcem świętym», robi ofiarę z Swego życia Bogu, aby uprosić pojednanie się wszystkich Jego dzieci, wrogo nastawionych wobec siebie. Czyż nie można wzruszyć się na widok Namiestnika jako «dobrego Pasterza», który błaga Boga, by raczył przyjąć ofiarę z życia swego, poto tylko, żeby trzody jego nie poddano rzezi.

✷

Czy miałby świat zlekceważyć sobie tę wzniosłą ofiarę, jak niegdyś niewierni Żydzi? Nie! Oto słowa Ojca św. wskrzesiły zrozumienie prawdziwego braterstwa w sercu wszystkich swoich dzieci, wskutek czego każde z nich jest gotowe zgodzić się na ustępstwa, byle tylko utrzymać pokój. Zdawałoby się, że prośba Najwyższego Namiestnika zdziałała ten cud.

Dlatego, należy mieć szczególniejsze uznanie dla naszego Ojca św. w modlitwie waszej. Czybyście nie mogli czasami ofiaro-

wać jednej Komunii św. albo conajmniej jeden dziesiątek różańca św. w jego intencji.

Ach! gdybyście go lepiej zrozumieli częściej myślelibyście o Nim. Gdybyście przeczytali sobie jego przepiękne encykliki, które napisał w celu przypomnienia światu prawdziwej nauki Ewangelicznej i w celu odwrócenia klęsk, jakie powstawają obecnie na świecie! Lecz wasze biedne, znużone oczy nie pozwolą wam czytać ich. Otóż dziś przeznaczamy te kilka wierszy osobliwie dla tych wszystkich, którzy cierpią, dla chorych. W przeszłym roku bowiem Ojciec św. zachorował, i to ciężko, lecz wierni na całym świecie modlili się tak żarliwie, że odzyskał zdrowie. Potem Ojciec św. nawet oświadczył, że to Święta Terenia z Lisieux go uzdrowiła.

Tak brzmią jego piękne słowa:

«Niezadługo stawię się przed Bogiem, niezadługo zdam Mu rachunek z posłannictwa mojego. Dusza moja prędzej się nie uspokoi, aż będę mógł dorzucić nowy objaw miłości do tych dzieł, których Nam Opatrzność pozwoliła dokonać».

Nie zaznaliśmy bólu fizycznego przed tą chorobą. Teraz odczuwamy ten ból i to przykre doświadczenie powoduje, że jeszcze więcej współczujemy z tymi wszystkimi, którzy cierpią, a przede wszystkim z cierpiącymi na duszy. Pragniemy, tak samo jak Dobry Samarytanin, podać ręce wszystkim tym, którzy cierpią albo znajdują się w nędzy, w nadziei ulżenia im, albo przynajmniej pokrzepienia i pocieszenia ich na duchu. Stać się to może przez miłość, którą Chrystus pozyskał sobie dusze i pociągnął je za sobą».

«Miłość, miłość — oto wielka potrzeba dla dzisiejszych czasów, bo możnaby powiedzieć, że ludzie już nie umieją się miłować. Nie usłyszy się na tej ziemi żadnego innego krzyku jak tylko nienawiści i wojny. Przeciwnie zaś pragniemy, aż do ostatniego Naszego tchnienia, ciągle głosić, że cała nauka Chrystusowa zasadza się na miłości i że tradycja kościoła była tradycją miłości...»

«Gdyby Chrystus powrócił na tę ziemię, czyby On nie przytulił do Siebie wszystkich tych nieszczęśliwców i czyżby odwrócił się od tych tłumów, które z krzykiem zwracają się Niemu? Widok tylu ludzi nieszczęśliwych i wprowadzonych w błąd przez fałszywe zasady wzrusza nas głęboko».



Pamiętajcie często o Papieżu! Często módlcie się, aby dobry Bóg go zachował na czele Swego Kościoła przez długi czas, aby wszyscy chrześcijanie zawsze byli wierni żądaniom przedstawiciela Jezusa-Chrystusa na ziemi.





Oczyszczenie Najśw. Panny Marii

Oczy moje oglądały Panie zbawienie, któreś nam zgotował.

1. Gdzie pospieszasz Najświętsza Dziewico z świętym skarbem, powierzonym Twej pieczy, z jedynym Synem, którego z miłością przyciskasz do dziewiczego serca. Po co idziesz do świątyni Jerozolimskiej, Ty która jesteś żywym przybytkiem Przedwiecznego, która jesteś Matką Boga, który jest w tym przybytku czczony? Prawo oczyszczenia nakazane córkom Ewy na odpokutowanie pierworodnego grzechu, czy może Ciebie dotyczyć, któraś przybyła jaśniejąca jako jutrzenka, piękna jak księżyc, lśniąca jak słońce, któraś nigdy nie znała grzechu; ani najlżejszej zmazy? Ty, któraś przywilejem cudownym, stała się Matką nie nadwyrężając swego Panieństwa, dla czegóż chcesz się z zwyczajnymi niewiastami równać? Oto rozumiem Cię najczystsza z Dziewic, czuła Matko moja! Uniżasz się, poddajesz prawu tak upokarzającemu, a wcale Ciebie się nie tyczącemu, aby mnie nauczyć składać w ofierze moją pychę, próżność, miłość własną i chętnie poddawać się posłuszeństwu prawu Bożemu i woli mych przełożonych.

2. A Ty najmilsze dziecię Jezu, dla czego chcesz się ofiarować przez ręce Marii Ojcu Twemu Przedwiecznemu. Zapewne te ręce są bardzo czyste, święte, ręce Niepokalanej Marii. Ale czyż Ty nie jesteś źródłem wszelkiej świętości i czystości, Stwórcą czystości i świętości Marii. Mogłeś się sam ofiarować Ojcu Twemu, którego jesteś Synem najukochańszym, w którym swe upodobanie położył. Dla nas to, dla naszej nauki szukałeś pośrednictwa Marii; aby nas nauczyć, że przez nią mamy się do Ciebie udawać, jeżeli pragniemy być dobrze przyjętymi! Chciałeś jednym słowem nas nauczyć, że Maria ma być naszą pośredniczką, kanałem łask, rozdaw-

czynią skarbów nieskończonych, Twej dobroci i miłosierdzia! Udziel nam o Jezu łaskę zrozumienia tej nauki i wykonania jej, podwajając w miłości, ufności i nabożeństwie do Niepokalanej Matki naszej. O Mario ofiaruj nas na nowo i na zawsze Twemu Boskiemu Synowi, w służbie którego chcemy żyć i umierać za Twoją wszechwładną przyczyną.

3. Co słyszę, co za radość dochodzi mnie, z świątyni na widok Jezusa i Marii! Oto Anna prorokini, to święty starzec Symeon, przepełnieni uczuciem miłości i radości, wielbią Pana hymnem oswobodzenia. Teraz Panie, puść sługę Twego w pokoju; bo oglądały oczy moje zbawienie, któreś zgotował narodom. Czemuż, serce moje nie doznaje uniesień radości i miłości, kiedy mam szczęście, nie tylko jak Anna i Symeon, widzenia i piastowania Cię, ale przyjmowania i posiadania Cię w sercu i przekształcania się w Ciebie samego w Komunii św. O mój dobry Jezu! roztop lody serca mego, aby niewdzięczność moja nie umieściła mnie między tymi, na których zgubę na ten świat zstąpiłeś i spraw, abym była z liczby, którym zmartwychpowstanie i szczęście wieczne przyniosłeś.

Praktyka. Często składać siebie w ofierze i wszystkie swe czynności, Jezusowi przez Marię.



Dnia 30. grudnia 1938 r. zasnął w Panu opatrzony Św. Sakramentami i otrzymawszy osobliwsze błogosławieństwo Ojca św. J. Eminencja Najprzewielebniejszy X. Kardynał

ALEKSANDER KAKOWSKI

Metropolita Warszawski

szczególniejszy Protektor i Dobrodziej Dzieł Św. Wincentego a Paulo oraz Apostolstwa Cudownego Medalika w Polsce.



Pamięci dostojnego Purpurata poświęcimy jeden z następnych numerów naszego pisma.



GORZKIE ŻALE

W pierwszą niedzielę postu, przed czwartą godziną po południu, wybrała się pani Bogucka ze swoją 10-letnią córką Marią i 7-mioletnim synkiem Janem do pobliskiego kościoła na ulubione nabożeństwo na gorzkie żale. Dzień był pogodny. Słońce pięknie przyświecało, lecz zanosiło się na mroźny wieczór. Ludzie licznie zdążali do kościołów nie tylko z miasta Krakowa, ale i z pobliskich wiosek i przedmieść. Poczciwi wieśniacy przyjeżdżali na saniach. Marię bardzo zaciekawiło to osobliwsze nabożeństwo, jakie się w niedziele postne po południu w naszych kościołach odprawia. Chodziła wprawdzie regularnie w niedziele i święta z dziećmi szkolnymi do kościoła na mszę św., lecz na gorzkich żalach jeszcze nie była, przynajmniej nie może sobie tego przypomnieć.

Nadeszli wreszcie do kościoła, Niedługo czekali. Dobrze ze szkoły znany X. katecheta, poprzedzony przez ministrantów, wychodzi przed wielki ołtarz, na którym palą się liczne świece. Kwiatów jednak ani żadnych innych ozdób, które widziała na święta Bożego Narodzenia, obecnie już nie ma. Ksiądz wystawia Najświętszy Sakrament, lud pobożnie śpiewa: «O Przenajświętsza Hostia». Wreszcie kapłan klęka i intonuje: «Gorzkie żale przybywajcie». Wszyscy podchwytują melodię zaczętą i śpiewają. Jej matka też. Maria przysłuchuje się uważnie, coś ze słów słyszy niby i rozumie, lecz nie wszystko i niedokładnie. Śpiew jednak jej bardzo się podoba. Taki piękny i żałosny!

Wreszcie przestają śpiewać. Kapłan wstaje i odczytuje: Część pierwsza. Potem znów śpiewają. Po pewnym czasie kapłan po raz drugi odczytuje: Część druga. To się powtarza i po raz trzeci. Już śpiewają: Któryś cierpiał za nas rany. Oto i X. proboszcz na ambonie. Będzie kazanie. Nie pomyliła się. Ksiądz mówi z zapałem o konaniu Pana Jezusa w ogrojcu, przedstawia szczegółowo, kto cierpi, jakie męki ponosi i za kogo, przypomina, że Bóg cierpi za grzechy nasze, Krew Swą Przenajdroższą przelewa za nieprawości nasze, bo włożył nań Pan nieprawość wszystkich nas. — Mani się robi ciężko na sercu, łzy cisną się do ócz, widzi, że i matka sobie łzy ociera, a niektóre kobiety nawet głośno szlochają. Janek tylko tego wszystkiego nie rozumie, nie wie, o co chodzi. Kaznodzieja wreszcie kończy, że możemy, że powinniśmy, jak ów anioł Jana Jezusa w tym bolesnym konaniu pocieszyć, powinniśmy się stać aniołami pocieszycielami dla Zbawiciela naszego. I czynimy to wtedy, gdy będziemy zwłaszcza w tym poście więcej unikali grzechów i obrazy

Bożej, a za dawne występki żałowali i pokutowali. Mania wszystko to rozważa i rozbiera w swych myślach, widzi nie jedno uchybienie i brak poprawy, dlatego też postanawia sobie przed Panem Jezusem w Najświętszym Sakramencie utajonym więcej czuwać nad sobą, poprawić się, chce odtąd być pilniejszą, a posłuszną matce i ojcu w domu, sprzeczać się też już więcej z Jankiem nie będzie. Wtedy pomyślała sobie pocieszy Pana Jezusa w Jego bolesnym konaniu. Po kazaniu pomodliła się jeszcze za swych kochanych rodziców, którzy są tak dobrymi dla niej i dla Janka. Tymczasem ludzie śpiewali: «Przed tak Wielkim Sakramentem». — Wreszcie kapłan ich pobłogosławił Najświętszym Sakramentem. Lud śpiewał jeszcze pieśń: Wisi na krzyżu!»

Matka jednakże już się przeżegnała, powstała, a przy drzwiach kościelnych powtórnie uczyniła znak krzyża, co i Mania z Jankiem uczynili. W drodze do domu Mania tym razem, powstrzymać się nie mogła. Zadawała Matce liczne pytania względem gorzkich żali. Ja myślałam, odzywa się, że to jedna, a to kilka pieśni i ksiądz coś odczytywał, a nawet trzy razy, a potym znów śpiewali i kazanie było. Pani Bogucka ucieszyła się pobożną ciekawością swojej ukochanej córki, lecz odrzekła jej z powagą: «Objaśnię ci wszystko po powrocie do domu».

Niezadługo stanęli w swym mieszkaniu. Gdy już nieco wypoczęli i posilili się, matka ucałowała swe dobre i grzeczne dzieci i poczęła im objaśniać Gorzkie Żale.

Dobrze zauważyłaś — rzekła do swej córki. — Gorzkie Żale to nie jedna, ale kilka pieśni, to zbiór różnych rzewnych pieśni, odnoszących się do cierpień i Męki Pana Jezusa, jak hymn, lament, rozmowa duszy. — Na to wtrąciła Mania: a co znaczy hymn? — Jestto pieśń, która w czuły i tkliwy sposób opisuje zniewagi, boleści i mękę Pana Jezusa. — Już rozumiem, bo i ksiądz katecheta nam kiedyś o tym w szkole wspomniał. Lecz wcale nie pojmuję, jak dusza może lamentować lub rozmawiać. Ona przecież ciała nie ma, jest duchem, więc i ust nie ma.

Pani Boguckiej podobały się uwagi córki, jej zainteresowanie się objaśnieniem Gorzkich Żali, dodała przeto uradowana: Prawda, dusza ciała nie ma, a więc i ust, rozmawiać zatym nie może, lecz może odczuwać radość, smutek, boleść, może się smucić, lamentować nad wielkością cierpień Pana Jezusa. Dusza może również myśleć, rozpamiętywać, rozważać czyli niejako ze sobą rozmawiać. W tym właśnie znaczeniu powiedziano o Gorzkich Żalach lament duszy, bo dusza współczuje i współcierpi z cierpiącym Jezusem. W tym także znaczeniu powiedziano rozmowa duszy, gdyż dusza zadaje Najświętszej Pannie Marii i Panu Jezusowi w myśli

pytania i sama na nie odpowiada. Jestto więc duchowa rozmowa wyrażona w pieśniach.

Maria zadowolona i pocieszona, że już poczyna wszystko rozumieć pyta się dalej: A co ksiądz katecheta czytał? Matka jej tłumaczy: Gorzkie Żale prócz wstępu i zakończenia składają się z trzech części. Wstęp stanowi pieśń Gorzkie Żale przybywajcie. Zawiera on wezwanie i zachętę do rozważania męki Pana Jezusa. Następuje potym część pierwsza, w której zapowiedziano rozważanie męki Pańskiej od bolesnego konania w Ogrojcu aż do niesprawiedliwego oskarżenia przed sądem. W drugiej części rozważa się cierpienie Pana Jezusa aż do cierniem ukoronowania. W trzeciej wreszcie aż do skonania na krzyżu. W każdej części wyrażono zarazem intencję szczegółową, za kogo te bolesne rozważania cierpień Pana Jezusa ofiarować chcemy.

Gorzkie Żale kończą się pobożnym niejako westchnieniem do Pana Jezusa cierpiącego z prośbą o litość i miłosierdzie dla nas: Któryś cierpiał za nas rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami!

Po tych słowach wstała Pani Bogucka z krzesła i przyniosła ze szafki dla Mani przygotowaną książeczkę do nabożeństwa, w której były i Gorzkie Żale. Raz jeszcze w krótkości powtórzyła jej i pokazała na książeczce, a dodała te słowa: Tę książeczkę do nabożeństwa daję tobie, abyś mogła wraz z drugimi w kościele Gorzkie Żale śpiewać i rozważać pobożnie mękę Pana Jezusa.

Mania nadzwyczaj ucieszona niespodzianką, jaką odebrała, sama poczęła Matce powtarzać z książeczki, chcąc pokazać, że dobrze pamięta i rozumie skład i treść Gorzkich Żalów. Jedna jej jeszcze się nasunęła wątpliwość: Czy dawno ludzie już śpiewają Gorzkie Żale? Może więcej niż 20 lat?

I na to pytanie dała odpowiedź Pani Bogucka. Już przeszło 200 lat. Pobożni księża, co Pana Jezusa cierpiącego bardzo kochali, ułożyli je i rozszerzali między ludem. Uczynili to XX. Misjonarze, mieszkający w Warszawie przy kościele św. Krzyża.

Dzień ten był dniem radości dla Marii. Dostała książeczkę i może z niej śpiewać Gorzkie Żale. Wieczorem przypomniały się jeszcze przed zaśnięciem jeszcze Mani Gorzkie Żale, śpiewane w kościele, prześliczne kazanie i słowa dobrej Matki. Każdą niedzielę chodziła w poście z Matką i Jankiem do kościoła i śpiewała z książeczki wraz z ludem Gorzkie Żale. Dotrzymała i obietnicy danej Panu Jezusowi. Była grzeczna i posłuszna dla rodziców i dla nauczycieli w szkole. Tak postępują wszystkie dobre i pobożne dzieci.

X. Józef Joachim Góral, Misjonarz.





Cudowne uzdrowienie protestantki w Lourdes

W jednym z ostatnich numerów «Journal de la Grotte de Lourdes» dr. Vallet, dyrektor Biura Stwierdzeń Medycznych podaje interesujące streszczenie protokołu dotyczącego uzdrowienia w Lourdes chorej panny Germaine Bristen z Cateau (dep. Nord), uzdrowienia tym bardziej godnego uwagi, że odnosi się nie do wierzącej katoliczki, lecz osoby pochodzącej z rodziny protestanckiej i będącej protestantką.

Panna Bristen, mając 18 lat, w marcu 1935 roku tak nieszczęśliwie upadła na lewe kolano, że wywiązał się poważny wysięk, z którym połączyły się komplikacje natury gruźliczej atakujące również nerki. Chora musiała leżeć nieruchomo. Zabiegi lekarzy w ciągu dwóch lat nie dały żadnych pozytywnych rezultatów. W sierpniu 1937 roku po ponownym zbadaniu chorej lekarze odmówili zabiegów chirurgicznych a urząd Ubezpieczeń Społecznych uznał pannę Bristen za chorą nieuleczalnie, określając jej niezdolność do pracy na 60 proc. Pozbawiona wszelkiej nadziei panna Bristen za namową swego ojca, który jednak słyszał o cudownych uzdrowieniach w Lourdes, postanowiła przyłączyć się do pielgrzymki, wyruszającej w pierwszych dniach września 1937 roku do Lourdes. Dr. Tison, lekarz z Neuvilly, wydał jej wówczas zaświadczenie, w kórym pisał: «Stan jest bardzo poważny, choroba nieuleczalna a koniec fatalny wkrótce nieunikniony», zalecał przy tym by podróż, odbywała się w pozycji leżącej «z powodu bezwładu lewej nogi i możliwości hematurii». Diagnoza postawiona przez tego lekarza stwierdza arthritis lewego kolana na tle gruźliczym i gruźlicę obustronną nerek oraz pęcherza.

W dniu 6 września 1937 r. asystując procesji eucharystycznej, w czasie błogosławieństwa N. Sakramentu panna Bristen odczuła nagle błogie polepszenie wewnętrzne, na drugi zaś dzień mogła z łatwością powstać z łoża i chodzić. W Biurze Stwierdzeń Medycznych dokąd ją natychmiast zaprowadzono, lekarze stwierdzili, że może wchodzić i schodzić po schodach, opierając się również na

lewej nodze, może klękać i podnosić się sama, opierając się tylko prawą ręką. Dalsze bardziej szczegółowe badania w dniu 30 września wykazały, że zginęły również ślady laseczników Kocha i nastąpiło pełne uzdrowienie. Zginęły bóle, spadła do stanu normalnego gorączka. To samo stwierdzili lekarze w Paryżu. Po raz drugi badaną była ozdrowiona panna Bristen w Biurze Stwierdzeń Medycznych w Lourdes w dniu 3 września 1938 r. Stwierdzono wówczas uzdrowienie zupełne i bez pomocy jakichkolwiek zabiegów lekarskich, czego z punktu widzenia nauki dzisiejszej wytłumaczyć się inaczej nie da, jak działaniem sił nadprzyrodzonych.



Miłość Boża w życiu wielkich ludzi

Św. Wincenty a Paulo

MARZENIA OJCOWSKIE

Z chwilą, gdy zajęcie pasterza nie przystawało już wiekowi Wincentego, zdawać się mogło, iż ojciec do innej pracy w polu czy w domu używać go będzie. Inaczej się jednak stało. Roztropny ojciec rozumiał dobrze, iż nie w tym szukać należało przyszłości dla syna. Ojcowie mierzą zazwyczaj wyżej dla synów niż dla siebie samych. Może zatem i u niego obudziło się pragnienie, albo godziwa i szlachetna ambicja, by jego ulubieniec, którego przedwczesna inteligencja i bogate zalety serca nie uszły uwagi rodzica, rozsławiły kiedyś nazwisko, a może odezwało się przeczucie, tajemniczy rozkaz, dosyć, że postanowił oddać Wincentego Kościołowi, poświęcić go służbie Bożej. Niewykluczone, że wchodziła w rachubę myśl nie całkiem bezinteresowna, którą jednak trudno brać za złe ojcowskiej przezorności. Niewątpliwie istniał zamiar zapewnienia synowi oraz całej rodzinie losu bardziej ustalonego. Czyż jeden z jego sąsiadów i przyjaciół tego samego stanu nie osiągnął godności przeora, co pozwalało mu pomagać wydatnie rodzicom, dzięki pobieranym dochodom? Zatem Wincenty mógł również uzyskać znaczne zyski dla siebie i braci. „W czym — jak mówią późniejsi dziejopisowie świętego — mylił się on bardzo“. Lecz jakże zabraniać ubogiemu wieśniakowi, by marzył dla syna wyjątkowo uzdolnionego o jednym z tych świetnych urzę-

dów w Kościele czy państwie. Uzyskanie potrzebnego wykształcenia nie przedstawiało zbytnich trudności. Nie brakło uniwersytetów, ani dla tego celu specjalnie przeznaczonych domów. Twarde czasy przetrwała dość znaczna ilość klasztorów, oszczędzonych przez burzę lub na nowo otwartych, gdzie nauki udzielali najwybitniejsi uczeni, zdolni wykształcić młode pokolenie, przygotowane do wyższych studiów w szkołach parafialnych. Młodzież wyższych stanów wychowywaną była przeważnie w kolegiach jezuickich; inni u braci mniejszych i u franciszkanów. U tych ostatnich postanowił Depaul umieścić syna.

POŻEGNANIE ZE STEPEM

Wystawmy sobie Wincentego od chwili, gdy dowiedział się o zamiarze ojcowskim, jak pogrążony w cichej a smutnej zadumie żegna się z dotychczasowym swym życiem. Z ciężkim sercem myśli o rozstaniu z ukochanymi owieczkami, odwiedzając z nimi po raz ostatni kolejno stepy piaszczyste, lasy, gaje, dębową kapliczkę, wszystkie te miejsca dobrze znane, gdzie niebawem ktoś inny prowadzić będzie jego stadko; pies, przyjaciel, na przemian czuły i rozżalony, wie czego się trzymać i postępuje z głową zwieszoną. Maleje liczba dni, niekiedy wlokących się tak długo, czasami znowu tak krótkich. Jeszcze dwa tylko. Oto ostatni. Nazajutrz opuści swoich Wincenty. Dłużej niż zwykle pozostaje na pastwisku, aż do ostatnich blasków zachodu. Gdy pierwsza ukazała się gwiazda, wstaje, zawraca ku domowi. Ale poprzednio, póki sam jest jeszcze w skupionym mroku, z prostotą, pogodnie żegna obojętne zwierzęta. Nieliczne ich stado, złożone z siedmiu, ośmiu sztuk zaledwie. Niewiele czasu na to potrzeba. Pieści się z nimi. Zatapia dłonie, jak lubił to czynić mały Jezus, w ich miękkiej wełnie. Słodszym niż zwykle głosem dźwięczy w ciemności dzwonek na szyi baranków; po czym przemawia do psa, który go rozumie i usiłuje to okazać; poleca mu stadko, dużą leniwą owieczkę i wesołe jagnię. Pies potakuje. Zbliżają się już ku domowi. Przystaje jeszcze, by ucałować gorące czoło wiernego przyjaciela długich lat dziecinnych, z którym tyle dni mu zeszło, tyle się nabiegał, nucąc i bawiąc się, lub pluskając się w falach Aduru, z którym jadał, pił, zasypiał, i który często pocieszał go w niejednej godzinie, nudą opanowanej.

Ale dosyć już roztkliwiań! Rozsądny chłopiec wraca do domu, gdzie wypatrywano jego ukazania się. Wieczór upływa wśród ogólnych usiłowań, by niczem nie wyróżnił się od innych. Z nad-

chodzącą ostatnią nocą, jaką ma spędzić pod rodzinnym dachem, kładzie się chłopiec do twardego łoża, o stajennym zapachu i zasypia spokojnym snem modrej wody leniwo płynącej. Wczesnym rankiem, pierwszy zbudzony, ubiera się pospiesznie. Choć to samo co zwykle nakłada odzienie, nie jest już tym samym co wczoraj — pasterz ustępuje miejsca uczniakowi. Nie ma już torby, ni laski pastuszej. Wiszą tam na gwoździu i tam pozostaną... Prędko! Dalej! Godzina nadeszła. Obejmują go wszystkie ramiona, całuje matka. Łzy ani jednej. Któżby litował się nad nim, mój Boże, przecież nie odchodzi na kraj świata, do Turków, nawet nie do Paryża. Zamieszka tuż niedaleko, w klasztorze zacnych franciszkanów, o dwie mile stąd tylko. Odwiedzać go będziemy i on do nas powróci na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. W drogę!

Lecz cóż to za wrzawa za ścianą? To pies szczeka; drapie do drzwi zamkniętych, bo wiadomo, że raz wypuszczony nie da odwołać się z powrotem. Owce beczą. Najgorsza to chwila.

Wreszcie Wincenty oddala się w towarzystwie ojca. Znikają na widnokręgu, tam, gdzie wschodzi słońce.

Dalsze okoliczności łatwo sobie wystawić: przybycie do kolegium. Arkady klasztornego dziedzińca. Mały „nowicjusz" oddany przez starca w ręce przyszłych nauczycieli, może samego przeora. Łagodna dłoń spoczęła na głowie dziecka, gładzi jego twarzyczkę — wszystko to razem niewiele czasu wymaga, bo rzecz najważniejsza — umówienie warunków — opłata 60-ciu franków rocznie — ciężar nielada — załatwioną została poprzednio. I oto Wincenty, uczeń Depaul, wkracza na drogę wiodącą ku duchownej służbie Bożej, by odpowiednio do śmiałych życzeń ojca, stać się z czasem, jeżeli Bóg pozwoli, przeorem w cichym, pięknym klasztorze. Cudne marzenia... mój Boże!



Cudowny Medalik i dziecięctwo

Cudowny Medalik jest darem przeznaczonym dla wszystkich, wielkich i małych, mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, sprawiedliwych i grzeszników. Przypatrzmy się temu Medalikowi w stosunku do wszystkich epok życia ludzkiego, a zobaczymy, do jakiego stopnia jest on powszechny i zastosowany dla wszystkich. A więc najpierw dziecko.

Dziecięctwo jest wiekiem złotym, wiekiem beztroskim. To wiek, w którym się jest najprostszym najczystszym, najbardziej prawym i ufnym, kochającym i najbardziej kochanym. Dziecko panuje nad innymi, bo jest maleńkie; jest szanowane bo jest niewinne; jest bronione, bo jest słabe. Wszystko mu się pozwala, wszystko mu się przebacza, bo się je kocha.

Ewangelia św. mówi o dzieciach: «Aniołowie ich zawsze widzą oblicze Ojca, który jest w niebiesiech». Jeżeli starość jest jak woda ustała, w której wszystkie męty życiowe opadły na dno, dziecięctwo jest źródłem, wytryskającym ze skały, którego wodę można poruszać bez zmącenia jej, bo jest czysta aż do dna.

Najbardziej charakterystyczne cechy dziecka, — to czystość i prostota. Jego dusza jest otwartą księgą, w której czyta się tak, jak czyta się z jego twarzyczki. Ono nie umie jeszcze zapuścić zasłony, za którą człowiek się kryje, lub rozmyśla. Ta prostota jedna mu tyle miłości. Dziecko posiada swój majestat. Chrześcijanin myślący o tym, że Bóg zamieszkuje to drobne ciało, które przez łaskę stało się Jego świątynią, zrozumie ojca Orygena, idącego w nocy do łóżeczka swego śpiącego dziecięcia, aby ucałować je w serce. Poeta mówi: Szanujcie tę małą istotę, — ona jest bardzo wielka, w niej mieszka Bóg!

W czasach gorącej wiary istniał kult dziecka; — widziano aureolę chrztu św. jaśniejącą na jego czole; — obecność dziecka wzbudzało uczucie bezpieczeństwa, uważano je za ochronę przed złem. Na wielu pomnikach pośmiertnych można było widzieć napis prosty a rzewny: «Święta dziecino, módl się za nami!»

Dziś, kult dziecka istnieje już tylko w rodzinach na wskróś chrześcijańskich, w których stawia się zawsze duszę przed ciałem, a Boga zawsze przed wszystkim.

Otóż, ten anioł potrzebujący ludzi, ta dusza, która próbuje żyć w ciele, ta istota tak mała, a już tak wielka, więcej niż inni potrzebuje miłości czujnej i opiekuńczej. Potrzebuje matki.

Matka! — «Człowiek» powiada O. Feliks «może o wszystkim zapomnieć, nawet o Bogu, lecz nie może zapomnieć swojej matki. W sercu najbardziej spustoszonym, obraz matki trwa. Zwłaszcza, gdy straciliśmy ją przed wielu laty, gdy życie nasze chyli się ku końcowi, zdaje nam się często, że widzimy obraz opromieniony czystym światłem, coraz piękniejszy w miarę jak się od nas oddala i pod czarem wspomnień zawsze młodych, wołamy w ciszy naszego serca; «Matko moja!»

Tak, — człowiek nie może obejść się bez swojej matki; choć dziecko wyrasta, pozostanie ono zawsze na wysokości matczynego serca. Matka! gdy ją tracimy pozostaje w naszym sercu nieuleczalna rana; żyliśmy jej obecnością, żyjemy jej wspomnieniem.

Przez długi czas, dziecko nie zna nic na świecie prócz siebie i swojej matki. To cały jego widnokrąg.

I dlatego dziecko uśmiecha się już wcześnie, w swej słodkiej prostocie, do tej drugiej Matki, która także trzyma Dziecię w swoich ramionach. Ono wkrótce będzie wiedziało, gdy tylko zacznie wymawiać pierwsze słowa, że ta druga Matka, przed którą jego własna matka klęka, zwie się Maria, a imię Dziecka: Jezus. I odtąd, klęcząc na swoim pierwszym klęczniku, którym są dla niego kolana matczyne, wyciągać będzie instynktownie ramiona ku tej drugiej Matce, tak pięknej i tak dobrej; a jeżeli jako dziecko modli się do Niej, to będzie się do Niej modliło przez całe życie.

Dlaczego kult Dziewicy-Matki, który wydaje się być stworzonym specjalnie dla dziecka, trwa i później, nawet gdy dziecko stało się starcem? Dlatego, że wobec Boga, wobec Marii człowiek jest i pozostanie zawsze dzieckiem i że zawsze potrzebuje matki. Mówią, że małe dziecko stąpa po sukni swojej matki, a gdy jest duże, stąpa po jej sercu. Dziecko zostanie dla swojej matki zawsze dzieckiem, a matka dla niego pozostanie zawsze matką.

Włóżcie teraz Medalik na szyję tego maleństwa. Będzie uszczęśliwione. Podziwia go, całuje, pokazuje i jest z niego dumne. Nie potrafi jeszcze zrozumieć symbolizmu Medalika, lecz czuje, że jest on dla niego czymś świętym. Wkrótce matka nauczy je modlitwy objawionej przez Marię i ono złoży rączki i także mówić będzie: «O Mario bez grzechu poczęta módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!»

A jeżeli dziecięctwo jego kołysane było tym pobożnym westchnieniem, pomimo wszystko, zostanie mu ono zawsze w pamięci.

Przez swoją czystość, swoją niewinność i prostotę, dziecko

zrozumie Medalik lepiej od innych. Czyż Chrystus nie mówi: «Dziękuję Ci Ojcze, że zakryłeś to mądrym i roztropnym, a objawiłeś maluczkim».

Maluczcy zawsze będą pierwszymi w królestwie Bożym, w królestwie Marii.

Zapewne, dziecko nie potrafi przeniknąć symbolizmu Medalika; później ono go zrozumie. Narazie kocha Medalik. Wystarczy mu, że widzi na nim Dziewicę, Matkę idącą ku niemu z wyciągniętymi ramionami i bez namysłu otwiera też swoje ramiona i biegnie naprzeciw tej pięknej Pani, która przychodzi do niego jakby chciała przycisnąć je do swego serca.

O, dawajmy zawsze naszym dzieciom Medalik. On nauczy je kochać Marię i modlić się do Niej; on zachowa je od niebezpieczeństw duszy i ciała; on ściągnie na nie błogosławieństwo Najśw. Dziewicy, a gdyby kiedyś potrzeba było cudu, Maria, do której tak długo modliło się to serce dziecka, przypomni sobie, że Medalik, który ono nosi, jest Jej Cudownym Medalikiem. I tym razem znowu zasłuży on na swoje miano.

A teraz wejdźmy w siebie i zbadajmy, czy nie jesteśmy trochę zanadto filozofami w stosunku do Marii? Dla Niej powinniśmy mieć czystość, prostotę i szczerość tego maleństwa. Gdy matka małej św. Teresy mówiła jej: «Jeżeli nie będziesz grzeczną, pójdziesz może do piekła», anielskie dziecko odpowiedziało: «O Mamusiu, ja się nie boję; bo widzisz, ty będziesz w niebie napewno, a wtedy ja tak mocno zawieszę się tobie na szyji, że Pan Bóg nie będzie mógł mię od ciebie oderwać!». W stosunku do Marii trzeba być do tego stopnia dzieckiem. Jeżeli się Jej uchwycimy tak mocno jak maleńkie dziecko, sam Bóg «nie będzie mógł nas od Niej oderwać».

Jak mała dziewczynka nawróciła swego ojca

Mała dziewczynka, bardzo pobożna, brała udział w misjach. W ciągu jednej nauki Misjonarz powiedział: «Wszyscy, którzy z całego serca odmówią trzy razy modlitwę: «O Mario bez grzechu poczęta» otrzymają łaskę dobrego odprawienia misji i wyspowiadania się».

Powróciwszy do domu, dziecko wzięło Medalik i poszło do ojca. «Tatusiu» rzekło do niego, «dano mi Medalik, czy nie zechciałbyś mi przeczytać co na nim napisane?». «Umiesz przecież czytać». «Tak, lecz nie takie małe literki». «Ot więc słuchaj: tu stoi: «O Mario bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!». «Dziękuję tatusiu» rzekło dziecko i odeszło.

Po chwili powróciło: «Tatusiu, powtórz mi tę modlitwę,

chciałabym wbić ją sobie w pamięć!». Ojciec odczytał ją po raz drugi.

W godzinę później dziecko wróciło znowu: «Tatusiu, zrób mi jeszcze jedną przyjemność, ale mnie nie łaj. Chciałabym włożyć tę modlitwę do mojej książeczki; napisz ją bardzo czytelnie i pisząc wymawiaj każdą sylabę z osobna».

Ojciec wpadł w zasadzkę i pisał sylabizując. Gdy skończył, dziecko rzuciło mu się na szyję: «O tatusiu, jaka jestem szczęśliwa! Ks. Misjonarz powiedział, że ci, którzy odmówią trzy razy tę modlitwę, odprawią misje; otóż ty odmówiłeś ją trzy razy; — odprawisz więc misje i wyspowiadasz się!».

Wzruszony ojciec uścisnął swoje dziecko i nawrócił się.

Modlitwa

O Mario, tak jak Boski Syn Twój zdajesz się powtarzać: «Pozwólcie dziateczkom przyjść do mnie». Gdyby Twoje macierzyńskie serce mogło okazać komuś szczególne upodobanie, tymi uprzywilejowanymi byłyby dzieci, których pokora i niewinność Cię zachwycają. Błogosław, o Matko słodka dziateczki. Obiecujemy, że będziemy im mówili o ich Matce niebiańskiej, ażeby Ją znały, kochały i wiedziały, że Ty zastąpisz im matkę ziemską, gdy tej zabraknie. Daj, abyśmy wszyscy stali się znowu «dziateczkami». Bo Twój Jezus to powiedział, a Ty możesz tylko potwierdzić Jego słowa: «Królestwo niebieskie jest dla maluczkich i dla tych, którzy im są podobni». Amen.

Oto wróg!

Jakto! powiesz, wróg? Ja miałabym wrogów?

Tak dziecko! Masz przynajmniej jednego nieprzyjaciela, który tym bardziej jest zdradziecki, że go nie znasz i że ci schlebia. Nieprzyjaciel ten — to świat! On ci schlebia! Schlebiając ci, oszukuje cię! Oszukując cię, gubi cię! Tak, świat ci schlebia, on cię pociąga słodkimi słowami; on cię łudzi, on cię omamia, oczarowuje, porywa. On otwiera pod twoimi stopami drogę kwiecistą i roznieca przed twymi oczami zwodnicze światła...

Tak, on ci schlebia, a w twoim wieku lubi się pochlebstwa! Strzeż się!

Świat cię oszukuje! On obiecuje wiele, a daje mało, a to mało, które daje, jest często źródłem niepokoju i wyrzutów sumienia!

On obiecuje ci szczęście!.. Lecz od sześciu tysięcy lat, ludzie światowi szukają szczęścia, a znaleźć go nie mogą. On może ci dać

rozkosze, lecz szczęścia nigdy! Szczęście jest chrześcijańskie; rozkosz z chrześcijaństwem się nie zgadza!

On obiecuje ci wolność, lecz zapytaj nieszczęsnych, którzy stali się jego ofiarami. Jeżeli są szczerymi, wyznają ci, że są tylko niewolnikami!

On obiecuje ci radość, lecz jej nie ma; jego wesołość brzmi fałszywie, jak śmiech szatana w próżni. Radość kwitnie tylko w spokoju dobrego sumienia.

W świecie nie możesz liczyć na nikogo. Kogo tam znajdziesz? serca nieczułe, ludzi obojętnych, przyjaciół fałszywych i niestałych, brutalne samolubstwo, ukrytych wrogów, bogactwa przemijające i znikome, zaszczyty puste i rozkosze zwodnicze. A nawet do swoich rozkoszy świat dodaje goryczy...

Świat cię gubi. On cię gubi, bo pociąga cię na drogę zgubną, na drogę prowadzącą do przepaści. On jest nieprzyjacielem Boga. Chrystus go przeklął. Kto nie idzie za Jezusem, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem, ten musi zabłądzić i zgubić się.

A nie próbuj służyć dwom panom równocześnie; to niemożliwe. Nie zadowoliłabyś ani jednego, ani drugiego, a sama byłabyś ofiarą. Nie można pogodzić dwóch rzeczy, niedających się pogodzić. Jezus i szatan nie mogą mieszkać razem w jednym sercu.

Świat przemija, i ty przeminiesz razem z nim. Dni upływają, lata przechodzą, świat pędzi naprzód. On uczyni z ciebie kwiat jednodniowy, którego pożąda się rano, bo jest świeży i błyszczący, a który odrzuca się wieczór, mówiąc, że jest zwiędnięty!.. Wszystko przemija, dziecina, wszystko nuży! Bóg sam pozostaje!

Grzesznik uważa świat za coś, co trwa; człowiek rozumny za coś, co przemija; chrześcijanin za coś, co minęło! Bądź chrześcijanką, nie pozwól, by zawiązano ci oczy i prowadzono wśród okrzyków radości, — do przepaści.

Jednak musisz żyć w tym świecie; musisz oddychać jego zaraźliwymi wyziewami; pokusy czekają na ciebie; musisz się narażać na te wpływy chorobliwe... Musisz żyć w świecie, słyszeć jego wołanie, widzieć jego uśmiechy. O, strzeż się!

Ulyses przywiązał swoich marynarzy do masztów okrętów, ażeby nie szli za głosem pociągającym syren.

Dziecino, przywiąż się, uchwyć się tego boskiego drzewa, które zostało zasadzone na Kalwarii. Obejm z miłością krzyż twojego Pana. Nie pozostawaj sama na tym morzu wzburzonym, które przebyć musisz; — podaj rękę twą dziecięcą Temu, który mógł powiedzieć: «Nie bójcie się, jam zwyciężył świat!»





Bombardowanie Wenchow!

Pokazało się, że ten «zięć cesarza japońskiego z Junkodzie» zawiódł. Wczoraj: sobota, 26. II. 1938 — pamiętna data w historii Wenchow — były do południa aż trzy alarmy, oznajmiające przybycie aeroplanów nieprzyjacielskich. Trzeci alarm zastał nas, misjonarzy w kaplicy tuż przed obiadem. Nie mieliśmy i tak z tego powodu roztargnień, bo sądziliśmy, że to zwyczajny znak ostrzegawczy. I spokojnie potem posilaliśmy się w refektarzu. Ale niezadługo potem zawarczały samoloty i to tak silnie, że niektórzy z nas, sama prawie młodzież na gorąco kąpana, rzucili widelce i wyskoczyli z serwetkami pod brodą patrzeć, co się dzieje. Sześć maszyn ukazało się nad Wenchow. Kierowały się na południową bramę za miasto, za którą jest lotnisko. Najpierw obserwowały ten teren i to z dość wysoka. Naraz dał się słyszeć straszny huk. Wnet zauważyliśmy z piętra jak w tym właśnie miejscu zaczął się unosić dym, niczym jedna biała szeroka ściana. I znów nastąpiły krążenia wokół lotniska z tym samym skutkiem, co i przed tym, tylko że do ogólnego huku pękających bomb przyłączyło się trajkotanie karabinu maszynowego: istne «staccato». Ludzie niektórzy schronili się w obrębie naszej rezydencji. Widziałem, jak pewien młodzian pędził szybko do kościoła, ale się wrócił, bo drzwi były zamknięte. Po jakiejś chwili samoloty trójkami fruwały nad miastem, mianowicie: jeden «tercet» przeleciał nad naszą rezydencją, inny nad wzgórzem Sondesa» i nad dwoma innymi pagórkami w parku. Po półgodzinnym tropieniu wciąż owego lotniska odjechały w stronę Hanchow. Ulżyło się wszystkim na sercu. Pierwsi obserwatorzy nasi poszli dokończyć obiadu. Za chwilę przybiegł ze szpitala ks. Stefanowicz i opowiadał co tam widział. Siostra Miłosierdzia rozdawała chorym cudowne medaliki. Poganie też brali. Jakaś «mulier fortis», już od miesiąca poważnie chora, wstała na słabe nogi, towarzyszyła siostrze i przestraszonych ludzi zachę-

cała do ufności w Bogu, bo On silniejszy od Japończyka, On tylko może ludzi obronić od nieszczęść wojny. Furtianie i służba szpitalna chodzili w podwórzu i odmawiali koronkę gdy bomby padały i okna trzeszczały. Strach ściskał ich serca, oni zaś kurczowo chwytali za krzyżyki. Inne Siostry w sam raz wtedy odprawiały już 7-my dzień rekolekcje.

Podczas tych wypadków szkoła chłopców zamieniła się w jedną halę milczenia. Nie wychodzili na zewnątrz. Nauczyciele pilnowali. Tymczasem w szkole dziewcząt panika. Dziewczyny to w kaplicy, to w pokoju odmawiały pacierze. Niektóre płakały... a tak wszystkie były przestraszone, że trzeba je było wszelkimi sposobami wymowy uspokajać. Niektóre wołały: «uciekamy do domu, bo rodzice o nas będą niespokojni». Po pewnym upływie czasu zjawili się rodzice dzieci i pozabierali swe pociechy do «chałpy». Na ulicach miasta i w porcie przy łodziach ruch szalony. Natychmiast nastąpił «exodus» z miasta na wieś. Ceny przeprowadzki poszły od razu w górę. Ks. Ciemała wybierał się do kaplicy na wieś (sobota to była), ale ryksiarz tak zacenił, że ks. Ciemała powiedział mu: «cifulo» (nie mogę tyle zapłacić). Musiał zrezygnować z wycieczki misyjnej, tym bardziej, że za chwilkę przybiegł ministrant jego i powiedział, że łódkarz chce aż 3 dolary!

Jakie straty bombardowania? Powiadają, że około 48 bomb spadło na lotnisko. Dwie osoby zabite: ojciec z córką, kilka osób rannych. Dzięki Bogu, że nie większe szkody! Co będzie dalej, znów na drugi raz się opowie.

Ks. Łukasz Sitko.



Wiadomości z Chin

Chińczyk w sile wieku stał się ofiarą diabła. Szatan ukazujący mu się pod różnymi postaciami, dręczył go do tego stopnia, że mężczyzna schudł. A już od trzech tygodni tak był napastowany przez złego ducha. Cała rodzina jego w niepokoju. Chodzono do pagody radzić się duchów, zwracano się do wróżbitów; wezwano i bonzów, taoistów, by złożyli ofiary diabłu i w ten sposób go też wypędzili. Ale to wszystko kosztowało. Już 20 zł. na to wydano. A choroba jeszcze bardziej się wzmagała. Diabeł zbierał cześć, nic nie pomagał ofierze, owszem wpadł na fortel: «natchnął» chorego,

by nic nie jadł w ciągu pięciu dni. A innego znów dnia chory udzielił swej żonie takiego komunikatu:

— Diabeł odwiedza mnie pod postacią kota.

Dzięki swej wrodzonej ciekawości żona postanowiła go zobaczyć. Uzbroiła się w nóż kuchenny. Usiadła na łóżku w «nogach»... Dzień przeszedł na próżnym oczekiwaniu. Nie zniechęciła się. W nocy oka nie zmrużyła, ale czuwała. I rzeczywiście za chwilę wskoczył na łóżko mały kot, żółtej maści. Spacerował sobie powoli po kołdrze. Kobieta przebiła go nożem. Kot w okamgnieniu zniknął, ale co? Z noża spływała świeża, ciepła krew. Nie uderzyła zatem w powietrze... Po jakiejś godzinie chory sięgnął ręką pod kołdrę i wyciągnął... dwa duże karpy. Kobieta znów je przeszyła. Nóż krwawił i tym razem, ale karpy się ulotniły...

Chinka już miała dość tego stróżowania. Teraz diabeł na nią pilnował, bo skoro się tylko zdrzemnęła, szatan wyrwał jej nóż i pokaleczył jej palce. Obudziło to Chinkę, widziała krew spływającą... Była już północ.

Przestraszona postanowiła dalej czuwać. Jest 2-ga w nocy. Tym razem diabeł inaczej się «zcharakteryzował»: w postaci szczura piął się po parawanie. Ukazywanie się jego wogóle wyglądało na popisy. Chinka patrzała na to, jak na przedstawienie teatralne. Ukazał jej się nawet jako człowiek z czerwoną twarzą, z oczyma skaczącymi; straszny tym razem przybrał wyraz. Do tego usiadł na łóżku i nad ranem dopiero zniknął.

Kobieta wyszła z pokoju, nie wiedziała co począć. Zauważył to jeden jej sąsiad, katolik i dał jej taką radę:

— Jeżeli nie uwierzysz w Pana Boga, to mąż będzie nieszczęśliwy nadal.

Małżonkowie rada w radę i poszli do katechisty, by się modlił za nich do im nieznanego Pana Nieba. Katechista się zgodził. Wziął ze sobą coś 7 katolików. Poszli do domu opętanego, poklękali na macie, modlili się i kropili święconą wodą chorego; przez 5 wieczorów tak prosili u jego łoża. To poskutkowało. Odtąd cała rodzina nawróciła się i jak dawniej noce przepędzali na oczekiwaniu diabła..., tak teraz cały wolny czas poświęca na naukę katechizmu.

Że Chińczycy się nawracają, Boże to przede wszystkim dzieło. Posługuje się nie raz i diabłem, by ludziom okazać, że nie kto inny, ale Pan nieba jest potężny, jemu należy się cześć.

Napisał ks. L. Sitko.





KS. FELIKS STEFANOWICZ C. M.

W Szanghaju!...

W piękny poranek 30-go marca ub. r. znalazłem się na okręciku «Don Luis» pod flagą portugalską na czele z kapitanem. Reszta Chińczycy na danym chińskim «Yieli». U wylotu rzeki nasz okręcik salutował flagą przed dużym okrętem wojennym japońskim, stojącym na straży, by zawracać niepotrzebnych gości. Tak się stało z okręcikiem pod flagą grecką, że go grzecznie odprowadzili na Formozę. Widocznie coś wiózł... W dalszej drodze okręcik nie poddawał się kołysance załadowany towarem i pasażerami.

W następny dzień w południe mijaliśmy wojenny japoński okręt w pełnym rozpędzie, jak lokomotywa. Widocznie spieszył gdzieś na zagrożone miejsce. Przy wjeździe do rzeki, nad którą leży Szanghaj, na straży stały dwa japońskie okręty wojenne, a bliżej portu było ich więcej. W porcie są zakotwiczone okręty francuskie i angielskie. Wszystko to dawało domysł, że czas wojenny. Ze zbliżaniem się do portu było widać coraz więcej po obu stronach rzeki ślady wojny. Większe fabryki obce świeciły dziurami. Flagi międzynarodowe się rzucały w oczy, jako ochrona przed zniszczeniem.

Wieczorem o 8-ej na miejscu. Kulisi wszelkiego rodzaju dobijają się o zarobek. Chwytają za bagaż, za cokolwiek nawet po kilku i kłócą się o pierwszeństwo. Trzeba używać aż przemocy, by przypadkowo nie chwycili i człeka z bagażem... Zatrzymałem się w prokurze Misjonarzy — u swoich — nawet uradowanych, jak poznawałem po wąsach i brodach. W następny dzień nieodzowna wizyta u naszego przyjaciela p. Doleckiego. Oczywiście ten wita po swojemu, po polsku. I już podaje plan, kiedy mam u niego gościć. Okazało się, że prawie co drugi dzień i trzeba było odmawiać innym, bo p. Dolecki musiał mieć pierwszeństwo, skoro pierwszy zamówił. Odmówić się nie było łatwo. Zawsze szczerze i hojnie gości, jak było na Pomorzu u jego ojca za pięknych czasów. Jako Pomorzanin przy powitaniu stawiał pierwsze pytanie: «czego się ksiądz napije?». Od takiej tradycji nie odstępuje i na ziemi chińskiej. Za gościnność szczere dzięki.

Wizyta w poselstwie — dosyć szczera i gościnna. Podejmuję się rekolekcji dla Polaków po niedzieli Palmowej.

Przy zwiedzaniu terenu wojny, rzuca się w oczy, jak to Chińczycy uczą się kłaniać Japończykom. Na moście łączącym koncesję francuską z settlementem przechodzą obok strażnika po kolei, pokazują pozwolenie na przejście po terenie, na którym może mieszkał, zdejmują kapelusze, czapki, robią piękny ukłon, szczególnie kobiety i mogą iść dalej. Teren wojenny przedstawia same gruzy, wśród których tylko ulice, drogi przyprowadzono do porządku. Oczywiście wszelkie fabryki czy zabudowania ściśle międzynarodowe z flagami, stoją, jak świece wśród tego rumowiska, prawie nietknięte. Na jednej z fabryk powiewa też flaga polska. Produkują rzadkie szkło. W pewnych oddaleniach leżą stosy żelaza zebranego z gruzów, by potem służyło w Japonii do wyrobu narzędzi wojny.

Obecnie spotyka się więcej aut, czy autobusów, pełno turystów przejeżdżających po cmentarzyskach ruin i nawet obok rozsypujących się trupów jeszcze niepodebranych. Za dużo było do sprzątywania. Tu i ówdzie na skręcie drogi, ulicy stoi na uboczu deszczułka zaopatrzona w znaki japońskie, przybrana w zeschnięte kwiaty, zieleń, lampiony — to nagrobek ku czci poległego zasłużonego żołnierza japońskiego. Ciało spalone. Poza żołnierzami japońskimi, marynarzami, czasem nietrzeźwymi, głucho, pusto. Co nie zniszczyło narzędzie wojny, to padło od rąk grabieżcy jednych i drugich. Mieszkańcy nie wracają jeszcze do swoich siedzib, by odbudować, lub naprawić w obawie, że daremny trud. Znowu ograbią i zniszczą. A potem, mają szalone trudności wracający do swych kątów. Przysięgi na wierność Japonii i sprawa opłat dokumentowych.

Bliżej życia ulicy coraz więcej się spotyka aut japońskich, przeważnie wojskowych bez numerów, pędzących w szalonej szybkości. O wypadki różnego rodzaju, zderzenia nie trudno. Próżno szukać winowajcy, kiedy oni wśród siebie, i rządzą, jak u siebie. Nawet Anglicy widzą się czasem bezsilni. Na koncesji francuskiej rządzą Francuzi. Japończyków nie wpuszczają. Oczywiście i tu stan wojenny jeszcze nie zniesiony, i ruch do dwunastej przepisowo przestrzegany. Często widziałem, jak wyskakiwało kilku policjantów z gotową bronią z ubocznych ulic, zatrzymywali auto i rewidowali. Szukają broni. Przechodnie podejrzani piesi i jadący na rykszy, także w pewnym momencie podnoszą ręce do góry, a policjant obszukuje — szczególnie Chińczyków. Ale i tak trudno wyplenić wszelkiego rodzaju morderstwa, rabunki, zamachy na tejże koncesji. Wojna dała dużo komu broń do ręki. Za dużo na-

płynęło ludności z dzielnic ogarniętych wojną. Masy Chińczyków znalazły schronienie a z nimi wszelkie wyrzutki. Ciasno jest i stąd w braku mieszkań, na wolnych placach zbiły się masy w barakach czy nawet pod gołym niebem. Natrętni wyciągają ręce do przechodnia i nie odstąpi aż dostanie. Rankiem około 7-ej można widzieć, jak na głównych ulicach policjanci rozpędzają gromadki grzebiące w śmieciach, które jeszcze nie zdążyli wywieźć. Bieda i wśród blasku szanghajskiego ma miejsce, wśród bogaczy ponad miarę.

Po niedzieli Pasyjnej poddałem się operacji migdałków. W szpitalu P. Marii położyłem się na łóżko operacyjne. Trzy krople eteru sprawiły, że straciłem wszelką przytomność. Ledwie zdążyłem wzbudzić skruchę za grzechy i nic — żadnego życia. Na piętrze specjalnym dla księży obudziłem się, ale już na łóżku przywołany do przytomności zastrzykami i poczułem ból. Lód, jaki połykałem ochładzał gorączkę i tamował świeże rany. Oznaka, że już można jeść bezpiecznie a następnie, że mogę na upartego opuścić szpital. Spieszyłem się nie mówiąc nikomu, bo za parę dni miały być rekolekcje. Trochę myślałem o gardle z obawy pogorszenia się, ale nic się nie stało. Przez trzy dni o 6-ej wieczór gromadzili się Rodacy licznie w kościele Chrystusa Króla, by usłyszeć po polsku słowo boże. Dzięki tak oddanemu Polakom ks. Mac-Donaldowi T. J. (Kanadyjczyk), często korzystają Polacy z pięknego kościoła im dogodnego, bo w przeważnej liczbie zamieszkują te okolice. Biskupi polscy wracający z Manili też zaszczycili swą obecnością owego proboszcza i urządzili uroczyste nabożeństwo. Oczywiście proboszcz z radości o mało nie stracił głowy. Naraz trzech biskupów polskich w jego kościele jeszcze nie było.

Przy pierwszym spotykaniu się z Polakami zawsze pytali, kiedy będę spowiadał. Przecież Wielkanoc się zbliżała... Okazja wyspowiadania się po polsku nadarzała się. Ogromnie się radowali, że od długiego czasu polski ksiądz zawitał, by wypspowiadać i nawet urządzić rekolekcje. Gościli mnie wśród siebie, jak w Polsce tym bardziej, że to były tradycyjne polskie święta wielkanocne.

W powrotnej drodze ten sam okręt już silniej się kołysał. Rzucało nim, jak łódką. Mało było pasażerów, bagażu i jakiś się znalazł wiaterek. Większość chorowała. W Wenchow na miejscu czekał ks. Sitko w swej cierpliwości w porcie od 4 godzin i doczekał się. Widocznie «zatęsknił się» za konfratrem... Przez dwa dni miałem chrypkę od opowiadania i odpowiedzi na ustawiczne pytania zaciekawionych towarzyszy, jakbym przyjechał z Polski. A byłem zaledwie wśród garstki Polaków na chińskiej ziemi, ale w Europie.

——••••——



Z wizytą u swoich

Misjonarze polscy w Wenchow wcale nie mają żadnych wakacyj. W ciągu roku, kiedy pogoda jest znośna na taki odpoczynek, nie ma co o tym myśleć, bo pracy tyle, że trudno się oderwać. Czerwiec i lipiec znów tak działają na człeka, że z powodu upału, nikomu się nie chce ruszać w okolice, naprawdę śliczne.

Ale niedawno biskup nasz wysłał naszego księdza Grabkę z Junkodzie, bardzo dogodnego terenu misyjnego ze względu na komunikację, do Fonlin, znanego z przeciwnych cech, bo to w górach dalekich, gdzie trudny jest dostęp do kaplic i dużo bandytów. Piszę, co mnie tam najbardziej uderzyło.

Ks. Grabka jako proboszcz, ma jednego polskiego wikarego ks. Bąbę, i jednego chińskiego kapłana. Gdy ich znienacka odwiedziłem, wielkie zrobili oczy, bo chyba dla pokuty odbyłem do nich podróż całodzienną: na łódce, w lektyce i pieszo po kamykach wzdłuż potoku górskiego, przy defiladzie majestatycznych gór. Serce im się również rozszerzyło, bo znów jedną więcej zobaczyli warz b i a ł ą.

Już na początku zaznaczam, że mało zapoznałem się z ich górską okolicą. Upał niesłychany, gorzej niż w Wenchow. I do tego siedzieliśmy przy zamkniętych drzwiach od samego rana. O wiele chłodniej w takim pokoju, niż na zewnątrz. Pilnowaliśmy, by niepotrzebnie chłód nie wymykał się z pokoju, niszym słowik z klatki. A już proboszcz najwięcej na tym stracił, bo wciąż przychodzili katechiści z różnymi do niego sprawami, spoceni do nitki! Tak uwięziony, skreśliłem kilka listów do krewnych; w Wenchow przy zajęciach pisałbym je cały rok... Więc o tyle tu zyskałem na czasie.

A przyszła raz poczta. Dwa razy na tydzień tu dochodzi. Moi koledzy już wiedzą nawet o której godzinie zjawi się «listonosz», który jest wioślarzem i z Wenchow całą dobę ciągnie polskie nowiny dla tutejszych misjonarzy. «Holownik» poczty polskiej — to najmilsza po Bogu osoba w Fonlin. Nikomu nie pędzą tak szybko na spotkanie, nikogo tak miłym uśmiechem nie obdarzają, jak tego prostego kmiotka.

Za mojego tam pobytu nawinął się ks. proboszczowi pewien

handlarz z kogutem. Dziewięćdziesiąt groszy polskich zażądał za niego. Ogromna suma dla misjonarza. Proboszcz na całodzienne utrzymanie dla trzech «apostołów» wydaje jednego dolara (czyli 1 zł. p.). Dać prawie taką samą sumę za tego przedstawiciela drobiu? Walczył ze sobą misjonarz: kupić, nie kupić. Zdala stał katechista i przypatrywał się tej scenie. Ale ostatecznie kupił misjonarz koguta, który zaraz pomaszerował do kuchni a ksiądz poszedł zapisać do księgi rachunkowej ową wielką stawkę. Za chwilę wieśniak znalazł się przed misjonarzem i wręczając mu pieniądze z powrotem, tłumaczył: «nie martw się, Zagraniczny Panie, katechista ufundował owego kapłona, a mnie kazał oddać 90 groszy». Dziwne to, bo biedny biednego wsparł. Tak samo dzieje się i na misjach: zwyczajnie biedni ludzie podtrzymują misje zagraniczne! Wdowi grosz — to fundament misji!

Podczas nalotów japońskich na Wenchow, nasi mieszczanie przeważnie uciekali w tamtejsze góry. Idąc raz pod wieczór przez ulice Fonlin zatrzymałem się przed nową, okazale zbudowaną pagodą. W sam raz przed «ołtarzem» bożka chodziły sobie tam i z powrotem 4 młode kobiety. Wszystkie w czarnym stroju kapłanek pogańskich, odmawiały «modlitwy wieczorne». Wśród nich zauważyłem jedną coś 17-letnią dziewczynę, tak nabożnie adorującą bożka, że tylko jej wsadzić kornet i zaprowadzić do nowicjatu. W zabudowaniach pagody napotkałem wspaniałą fotografię, grupową! I ta dziewczyna też tam widniała w otoczeniu samych mężczyzn, poubieranych w majestatyczne togi. Po zasięgnięciu odpowiednich informacyj od wszystko wiedzących ministrantów misyjnych, dowiedziałem się, że ta grupa — to fundatorzy nowo postawionej pagody. Ojciec tej gorliwej poganki sam dał na to gniazdo diabłów tysiąc pięćset zł. p. Otóż jego córka tak zapamiętale czci szatanów, że gdy uciekła z Wenchow przed Japończykami, nie wynajęła sobie zwyczajnego mieszkania, ale zatrzymała się w pagodzie. Zabrała ze sobą z wenchowskiej jakiejś pagody dwie towarzyszki bonzeski i z nimi razem oddaje się codziennym «pobożnościom» przed obliczem opasłego bożka, z wydętymi wargami i pękatym brzuchem. Jaka szkoda takich ludzi! Ale niema się co zniechęcać. Powoli mają misjonarze przeciwdziałać tej pogańskiej pobożności.

Oj, ciężka tam orka! Poprzedni proboszcz ukrył się w kupie drzewa przed bandytami. Dziś o wiele spokojniej pod tym względem, bo dużo band poszło na front walczyć z Japończykami. Nasi tymczasem nie powiększają frontu misyjnego. Potrzeba im ludzi i środków materialnych, by to, co już zrobione, utrzymać i rozwijać.

Ks. Łukasz Sitko C. M.

†

ROMAN DMOWSKI

Dojrzałość polityczna narodu nie spadła z nieba. Ogół nie doszedł do tego sam własną drogą wysiłkiem swoich myśli i doświadczeń. Ktoś musiał te sprawy przemyśleć, ktoś im wywalczył prawo bytu, ktoś nam je narzucił siłą swego jasnego, prostego rozumu. To był Dmowski.

«My wszyscy z niego» — stąd żal i uznanie, które odezwało się w sercach polskich. Dlatego cios ten uderzył nie w grupę, Jecz w naród.

«Idźcie naprzód [1]— a ja wam pokażę, jak trzeba czuwać».

Urodził się w Warszawie, w skromnych warunkach jako syn robotnika. Czasy, w których zaczął się rozglądać po życiu polskim, nie należały do radosnych. Jeszcze żywe były wspomnienia ostatniego rozgromionego przez Rosję powstania. Ludzie przywarli więc i przycichli. Ogrom strat był tak duży, pięść zaborcy tak ciężka, miażdżąca wszystko, że wielu zaczęło wątpić, czy Polska w ogóle powstanie. Inni byli zdania, że trzeba oddać się robocie gospodarczej przede wszystkim, że wystarczy budować kramiki, zakładać mleczarnie, fabryki i cicho siedzieć nie drażnić, a reszta sama się złoży. Na domiar rozpoczęli działalność socjaliści, którzy żywy organizm narodu chcieli rozerwać na zwalczające się do upadłego klasy.

Myśl skierowania Polski na właściwą drogę zrodziła się w sercu Romana Dmowskiego, syna warszawskiego brukarza. Kto wie, czy w tym właśnie nie tkwi całe nasze szczęście. Syn robotnika... a więc życie jego musi być krzepkie, bez wzdychań i rozczuleń.

Ojciec Dmowskiego pochodził z szlachty zagrodowej i to zaważyło nad synem i jego dziełem. Taki robotnik nie mógł iść za krzykiem Marksa: «robotnicy nie mają ojczyzny»; za dużo wiązało go z pokoleniami, które minęły, a które wszystkie służyły ojczyźnie.

Działalność polityczna Dmowskiego rozpoczyna się ofiarą. Za udział w manifestacji narodowej zostaje skazany na zesłanie w głąb Rosji.

Ucieka stąd i rozpoczyna w Małopolsce i w Królestwie żywą pracę polityczną. Powoli dojrzewa, umacnia, rozrasta się jego pogląd na Polskę.

Oto ówczesny program Dmowskiego:

Polska mimo zaborów jest jedna, dlatego jesteśmy Wszechpolakami;

musimy walczyć o «niepodległość wewnętrzną»; trzeba czuwać, aby wbrew swej woli nie stać się narzędziem w obcym ręku;

całą uwagę należy skierować na ziemie zachodnie — rdzeń przyszłego państwa;

jeszcze jedno, najważniejsze: nie Rosja, nie Austria, ale Niemcy są naszym odwiecznym i głównym wrogiem. Cała austriacka i rosyjska polityka nienawiści wobec nas odbywa się na rozkaz Berlina.

Jest to program podany oczywiście w dużym streszczeniu. Poza tym jest jeszcze wiele innych doniosłych zagadnień życia polskiego, które Dmowski uporządkował. On to pierwszy podnosi sprawę żydowską do rzędu zagadnienia politycznego. Nie idzie to jak z płatka, ale opornie, wśród drwin i nienawiści Żydów całego świata. Dmowski potrafi to zwyciężyć.

Nadchodzi wojna. Dmowski przewiduje ją, widzi nie we śnie, ale na jawie. Jeszcze na kilka miesięcy przed jej wybuchem rozmawia o tym z posłami angielskiego parlamentu. Nie wierzą. I przyszła... okrutna, a jednak dla nas radosna, bo dała niepodległość. Są to lata najcięższej pracy Dmowskiego. Zapoznaje rządy koalicji ze sprawą polską. Przebywa wtedy w Petersburgu, Szwajcarii, we Francji, Anglii, nawet Ameryce. Zagranica nie przyjmuje go jako natręta, którego trzeba niestety wysłuchać, ale ceni w nim wiedzę rozległą, umysł niepowszedni, największego znawcę stosunków w Europie środkowej i wschodniej. Słynny uniwersytet angielski

w Cambridge, jedna z najstarszych wszechnic europejskich, obdarza go honorowym doktoratem. Największym jednak triumfem Dmowskiego jest front większości narodu przeciw Niemcom.

Dzięki Dmowskiemu Polska podczas wojny światowej, Polska — państwo wtedy jeszcze nie istniejące — miała swego ambasadora, z którego zdaniem liczyły się mocarstwa. Ogrom pracy, dokonanej przez Dmowskiego w tym okresie, trudno wprost objąć. Dmowski dzieli się, troi. On to przeprowadza, że powstaje armia polska we Francji z gen. Hallerem na czele.

Po zawieszeniu broni nadchodzą całe miesiące wyczerpujących walk na kongresie pokoju o granice Polski. Ukryte siły, masoneria i Żydzi, zaprzysięgli wrogowie Dmowskiego, nie szczędzą starań, by Polska powstała jak najsłabsza, jak najmniej zdolna do życia.

Dmowski wypowiada im walkę. Choć ponosi w niej porażki — Polska powstaje zjednoczona, z zadatkiem wielkich sił. Traktat pokoju w imieniu Polski podpisują Ignacy Paderewski i Roman Dmowski.

Po kongresie wersalskim wyczerpany Wielki Polityk usuwa się na pozór z życia publicznego. W r. 1923 jest jeszcze przez kilka miesięcy ministrem spraw zagranicznych. I na tym koniec? Nie! Pracuje do ostatniej godziny, pisze książki, artykuły, zostawia spuściznę, którą cała przyszła Polska może żyć. Wtedy dopiero odchodzi. Jest więc Dmowski

nauczycielem i wychowawcą narodu.

Polityk — to byłoby za mało dla określenia roli Dmowskiego.

Dmowski kochał młodzież, zdobył ją, ale nie schlebiał jej nigdy i nie pobłażał.

Był biedny.

Ostatni okres swego życia spędził w niedostatku, mieszkał kątem u dobrych ludzi; z wielkiej swej pracy nie zdołał zebrać ani konta w banku, ani grosza na pogrzeb. Pisze o tym w pośmiertnym wspomnieniu ks. W. Matus na łamach jednego z lwowskich dzienników:

«Było to przed trzema laty. Z Kosowa, z lecznicy dr Tarnawskiego wracał śp. Pan Roman. Przerwa między pociągami pozwalała na krótki wypoczynek i posiłek, którym miałem szczęście służyć u siebie. W drodze na dworzec, opierając się o mnie, przyznaje się śp. Roman Dmowski do tego, że nie ma z czego żyć.

Tak żył w ostatnich latach śp. Roman Dmowski, który życie swe poświęcił dla Polski, wyrzekając się ciepła rodzinnego i odmawiając sobie wszystkiego. Tak żył mąż, którego podpis widnieje na Traktacie Wersalskim otwierającym narodowi polskiemu niepodległość i własne państwo».

«...Puść, Panie, sługę Twego do przybytków Twoich...».

A stosunek jego do Boga? Z ambony warszawskiej archikatedry powiedział o tym w mowie żałobnej, wobec tłumów zebranych, w obliczu trumny, ks. prałat Nowakowski:

«Roman Dmowski zbyt wiele poświęcił dla idei i Bóg nie mógł pozostawić Go z dala od Siebie. W łaskawości wielkiej zważył pracę zbożną, uznał trud nad trudy i promieniem łaski swojej przenajświętszej ogarnął tę duszę wielką, przebogatą, wziął ją we swe władanie potężne już na długo przed miercią. Wreszcie ten Król Duch Narodu Polskiego począł świadomie iść ku Bogu. Ciało wiotczało z dnia na dzień i zmierzało ku zniszczeniu — duch dumał o życiu w zaświatach.

Za przykładem Ojców swych schylił Zmarły w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia roku przeszłego dumne swe czoło przed Panem. Kajał się w sakramencie pokuty, a w Wigilię odświętnie się przybrał, ukląkł na środku pokoju, złożył ręce jak ubogi pielgrzym, co kresu dobiega, i przyjął

Najświętszy Sakrament. W stalowych oczach błysnęły dobre łzy, a w nich widniała modlitwa matki i świeciły promienie łaski Bożej...

I tak już szedł ku śmierci, o której mówił bez bojaźni, a ona zbliżała się krokiem nieubłaganym. W dzień Patrona swojego znów przed Bogiem się kajał; na progu życia wiecznego, przytomny jeszcze, zasilił duszę swą ostatnim namaszczeniem.

Runął jak dąb prastary, a dusza załopotała wiecznymi skrzydły w nieznaną dla nas, wielką dal...

Oczyma wiary widzimy ten lot i drogę wieczną. Naprzeciw wyszły duchy z przeszłości naszej z Chrobrym na czele i witały swego Wielkiego Rodaka. Wyszedł korowód świętych polskich z Wojciechem i Jackiem i pacholęciem Kostką i ostatnim Andrzejem i otoczyli go jasnością z Boga wziętą...

A i my wszyscy przyłączmy się w modlitwie wspólnej: Puść, Panie, sługę swego Romana do przybytków świętej szczęśliwości, sługę plemienia naszego... a my strzec będziemy przykazań Twoich, Ojczyzny naszej i Kościoła Twego Amen».

«Kwiaty na trumnę».

«Dmowski stał się własnością całego narodu». Prawda to tak oczywista, że słów tych użyło jednego dnia kilka różnych polskich dzienników. Uznali go wszyscy, od lewicy do prawicy. I w tym jego triumf, największe jego zwycięstwo.

Za trumną szedł, przy grobie jego przyklęknął, w dniu jego pogrzebu skupił się — naród polski.

(Przewodnik Katolicki, 1939, nr 4, str. 55—56).



HUMOR

TRENING.

— Mamusiu, czy jak przyjdą goście, to będę musiał jeść tort widelczykiem?

— Oczywiście, synku.

— Mamusiu, to możebyś mi dała teraz kawałek, żebym mógł potrenować!

* * *

Dałam sobie wyrwać ząb, który mi dokuczał długo! — oświadczyła żona, wróciwszy zmiasta.

— Szczęśliwy ząb! — westchnął mąż.

— Dlaczegóż to?

— Znalazł się w końcu poza sferą twego języka.

* * *

Przy fortepianie: Słyszałam, iż pan lubi dobrą muzykę.

— To nic! Proszę, niech że pani gra dalej.

* * *

— Babciu! Czy wiesz, nie cierpię cioci Andzi.

— Czemuż to?

— Wybiła mnie. Gdy umrze, nie pójdę wcale na jej pogrzeb. Na twój za to pogrzeb, babuniu, pójdę z wielką przyjemnością.





Z życia i działalności Stow. Dzieci Marii

Stowarzyszenie Dzieci Marii w Szczuczynie

Cześć Niepokalanej!

Dzień 18 września, to dzień przez nas oczekiwany z niecierpliwością. Dzień ten był dla nas zbawienny, gdyż w ten dzień przed ołtarzem Marii Matki naszej, 9 nowych Dzieci Marii, złożyło Jej w ofierze swe serca i oddały się pod Jej szczególną opiekę.

Bardzośmy się cieszyły, że 9 nowych Dzieci Marii, zostało przyjętych do Stowarzyszenia.

Przed dniem tym uroczystym odbyły się krótkie rekolekcje, które prowadziła Czcigodna Siostra Dyrektorka i przystąpiłyśmy do sakramentów św. Radosny ten dzień przyjęcia, był wielką uroczystością dla całego Stowarzyszenia. W kaplicy Czc. Sios. ks. Kamiński zastępca ks. Dyr. odprawił msze św. w naszej intencji, w czasie której przystąpiłyśmy wszystkie do Komunii św.

Po skończonej mszy św. ks. powiedział naukę o Marii i Marcie, że jaką Maria najlepszą cząstkę obrała u Boga, która Jej odjętą nie będzie, dając nam przykład jako my Jej dzieci winniśmy Ją szczególnie naśladować, zaraz odbyło się przyjęcie. Na zakończenie ceremonii odśpiewałyśmy nasz hymn «Królowej Swej». Dobroć naszej Czc. Sios. Dyr. sprawiła nam miłą niespodziankę wspólne śniadanie dla całego stowarzyszenia. W tym dniu w naszej parafii był odpust Imienia Marii, więc wszystkie uczestniczyłyśmy w procesji w medalach, przy sztandarze i chorągwiach w stroju ludowym. Po nieszporach zebrałyśmy się w naszej sali, w której bawiłyśmy się przy muzyce patefonu, choć krótko ale wesoło.

Obecnie stowarzyszenie nasze liczy 25 członkiń, w tym Dzieci Marii 12. 2 wyjechało uczyć się, kilka zmieniło swój cel i wyszły za mąż, a reszta kandydatki. W drugą niedzielę każdego miesiąca mamy zebranie z Czc. Ks. Dyr., a 3 razy z Czc. Sios. Dyr.

Mamy nadzieję, że za łaską Najświętszej Marii Stowarzyszenie nasze powiększy się i wzrośnie w cnotach na chwałę Bożą i Niepokalanej Matki.

W październiku urządziłyśmy akademię na niedzielę Misyjną, na którą złożyły się: przemówienie Czc. Ks. wice-dyrektora na temat Misje Katolickie, deklamacje trzech murzynków, poczym nastąpiła sztuczka pod tytułem: «Złota ręka». Ponieważ akademia ta odbyła się bezpośrednio zaraz po sumie w sali parafialnej, a wejście było honorowe to też dochód przeznaczyłyśmy na misje katolickie, aby Bóg raczył przyjąć nasze dobre i szczere chęci bo niczym więcej nie możemy pomóc, gdyż i u nas nie brak tej biedy.

W dzień 9 grudnia 1938 r. odbyło się przyjęcie samych aspirantek, 5 nowych przystąpiło na stopnie ołtarza, a w drugie święto Bożego Narodzenia wspólny opłatek, przy którym Czc. Sios. Dyr. winszowała nam i każdej z osobna wielkich czynów dla dobra naszego i ćwiczenia się w cnotach dla Boga.

Helena Rogowska, Prezydentka.

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

Redaktor: X. Pius Pawellek, Misjonarz.

Redaktor odpow.: B. Jakub Giemza C.M. Wydawca: XX. Misjonarze, Kraków—Stradom 4



OD REDAKCJI!

Wiadomości.

Opracowanie konkursowe na temat Apostolstwa Dzieci Marii nadesłało Stow. Dzieci Marii w Tarnowie. Bardzo ciekawe i podniosłe. Niezawodnie i inne Stowarzyszenia pójdą w ślady Swoich Sióstr.

Przebieg przepięknej uroczystości jubileuszowej 75 lat istnienia Stow. Dzieci Marii w Krakowie przy ulicy Warszawskiej ukaże się w pszyszłych numerach Rocznika Mariańskiego.

Kilka Stowarzyszeń nadesłało nam piękne zdjęcia fotograficzne. Takowe umieścimy także w przyszłych numerach. Zresztą dołożymy starań, aby od marcowego numeru zawsze po kilka ilustracyj było w naszym piśmie.

Tyle Stowarzyszeń nie nadesłało jeszcze żadnego sprawozdania ani podało wiadomości o swoim stanie. Prosimy usilnie, aby nam jak najrychlej nadesłać możliwie krótko ujęte i nieco ożywione sprawozdania.

Termin konkursowy przedłużamy do 15 marca b. r.



PROŚBA

Gorąco prosimy wszystkich, którym chwała Marii Niepokalanej leży na sercu, aby dołożyli wszelkich starań i nadesłali nam prenumeratę na nasze pismo: Rocznik Mariański! Powtarzamy, że prenumerata roczna wynosi 2 zł. 40 gr. ale gdyby ktoś nie był w stanie ani możności tej sumy przesłać, chętnie godzimy się, aby w miarę sił i możności na co go tylko stać, czym prędzej nadesłał. Tylu jeszcze zalega za manualiki i medaliki i dyplomy! Także kto jeszcze nie złożył ofiary za Kalendarz Cudownego Medalika na rok 1939, niech łaskawie pospieszy z jej nadesłaniem. W nadziei, że nas nikt nie zawiedzie i prośbie naszej odpowie, wszystkim posyłamy: Konający zwycięża!



Kto złoży całą prenumeratę za Rocznik Mariański za rok 1939 otrzyma jako premię przepiękne dzieło ascetyczne lub inną bardzo wartościową książkę, której półki księgarskie jeszcze nie widziały. — Jaka? Przekonamy się! Termin do 1 kwietnia b. r. Gorąco o to prosimy!



Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie pod kierownictwem F. Pieradzkiego